Nauka Katolicka.

(POSŁANIEC.)

„Nauka Katolicka“ wychodzi co czwartek w Bochum w Westfalii jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Osobno „Nauki Katolickiej“ prenumerować nie można. Kto więc chce ją otrzymywać, niech sobie zapisze na poczcie „Wiarusa Polskiego“.

„Wiarus Polski“, pismo polityczne wychodzi trzy razy tygodniowo z „Nauką Katolicką“, jako bezpłatnym dodatkiem. Prenumerata na poczcie wynosi 1 markę 50 fenygów kwartalnie, a z odnoszeniem do domu przez listowego 1 markę 75 fenygów.

Módl się i pracuj!

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Wiarusa Polskiego“.

Nr. 38. **Bochum, dnia 22 września 1898.** **Rok 7.**

Na Niedzielę 17-tą po Świątkach.

Lekcya. Efez. IV. 1—6.

Bracia! Proszę was ja więzień w Panu, abyście chodzili godnie powołaniu, któremeście powołani; ze wszelaką pokorą i cichością, z cierpliwością, znosząc jeden drugiego w miłości, starając się, abyście zachowali jedność ducha w związce pokoju. Jedno ciało i jeden duch, jako jesteście wezwani w jednej nadziei wezwania waszego. Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest nadewszystkie i po wszystkiem i we wszystkich nas. Który jest błogosławiony na wieki wieków. Amen.

Ewangielia. Mat. XXII. 35—46.

W on czas przyszli do Jezusa Faryzeuszowie, i zapytał go jeden z nich zakonny Doktor, kusząc go: Nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w zakonie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. Toć jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie. Na tem dwojgu przykazaniu wszystek Zakon zawisł i Prorocy. A gdy się Faryzeuszowie zebrali, spytał ich Jezus, mówiąc: Co się wam zda o Chrystusie? czyj jest Syn? Rzekli mu: Dawidów. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w duchu zowie go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu memu, siądź po prawicy mojej, a położe nieprzyjacioły twoje podnóżkiem nóg twoich? Jeśli tedy Dawid zowie go Panem, jakoż jest Synem jego? A żaden nie mógł mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od onego dnia więcej go pytać.

Kazanie o śmierci.

„We wszystkich sprawach twoich pamiętaj na ostatnie rzeczy, a na wieki nie zgrzeszysz“. Ekkl. 7,40

Śmierć, sąd, piekło i niebo, cztery te rzeczy zowią się ostatecznemi, ponieważ na każdego człowieka niechybnie na ostatku przyjść muszą. Zycie doczesne kończy się śmiercią; zaraz po śmierci następuje sąd Boży; po sądzie dla dobrych niebo, dla złych zaś piekło. A chociaż niektóre dusze idą do czyśca, te jednak wszystkie po skończeniu kary czyścowej pójdą do nieba. Będzie też przy końcu świata sąd powszechny wszystkich ludzi razem, na którym jednak P. Bóg nie odmieni wyroku, jaki za-

padł po śmierci na sądzie szczegółowym na każdego człowieka.

Co jest śmierć? Czy wszyscy muszą umierać?

Smierć nie jest niczem innem, jeno zakończeniem życia doczesnego; kiedy to bądź wskutek starości, albo choroby lub jakiego przypadku ciało śmiertelne wypowie służbę duszy, i ta dusza oderwie się najcześciej wśród nieokreślonej trwogi i męki konania od tej lepianki ciała, któreś lat tyle tak mile zamieszkiwał, któreś karmił odziewał, ogrzewał, poił, dla któregoś się tyle zapracował, naznoił, tyle trudów podejmował; a może na Boga i Jego najświętszą wolę nie pamiętał. Otóż nadeszła chwila, w której Bóg mówi: „Wynijdź duszo chrześcijańska z ciała!“ i wychodzi dusza zostawując martwe i obrzydłe, cuchnące ciało, trupa — to zowie się śmiercią. A z opuszczeniem ciała musisz opuścić wszystkie rzeczy tego świata: opuścisz pracę, interesa, zabawy, godności, opuścisz domy, majętności, bydełko, żonę, dzieci, nic ci nie pozostanie, tylko licha i ciasna trumna, śmiertelna koszula, zimny grób i cichy cmentarz — nic więcej nie weźmiesz ze sobą do grobu. A nawet twego trupa wnet roztoczy robactwo; zbutwieje koszula, strupieszeją kości, odłączy się głowa, ręce, nogi, wygniją oczy, a za jakiś czas gdyby otworzono trumnę, to z ciebie zostanie garść błota, garść prochu, piszczele kości i straszna trupia głowa! To pierwsze przyjście Pańskie, to śmierć niszczycielka, którą się wszystko na ziemi zakończy! Umrzesz człowiecze, bo nieodzowny wyrok Pański: „Postanowiono ludziom raz umrzeć!“ Ktokolwiek jesteś, bogacz czy żebrak, pan czy sługa, rzemieślnik czy rolnik, żołnierz czy urzędnik, kapłan czy świecki, młody czy stary, chory czy zdrów — musisz umierać, bo jesteś potomkiem Adama i Ewy; za grzech pierwszych rodziców przyszła śmierć jako kara nieodzowna na wszystkich ludzi. Niczem się od śmierci nie okupisz, chociażbyś największe ofiarował skarby, nigdzie się nie ukryjesz przed ciosem śmierci, wszędzie cię znajdzie; nigdzie przed nią nie ucieekniesz, wszędzie cię doścignie.

W jakich okolicznościach, to jest, kiedy, gdzie i jak pomrzemy?

„Czuwajcie — mówi Pan Jezus, — bo nie wiecie ani dnia, ani godziny“. Czy w poniedziałek, wtorek lub inny dzień tygodnia? — nie wiemy! Czy w tym, następnym lub trzecim miesiącu? W tym lub przyszłym roku? czy w dzień, czy w nocy? czy po przyjęciu Sakramentów, czy bez przyjęcia onych? czy w stanie łaski, czy grzechu? czy o pierwszej, drugiej, dwunastej godzinie? bez szczególnego objawienia Boskiego zakryte to jest przed oczyma naszemi! Również nie wiemy, gdzie nas śmierć zaskoczy, czy przy robocie w polu, czy na spoczynku w domu, czy w drodze, czy przy jedzeniu, czy w kościele, czy w własnym lub cudzym domu, w rzece, czy na ziemi, na pościeli, czy przy biesiadzie. Również nie wiecie, jaką śmiercią umrzecie? czy zwolna wskutek długoletniej choroby, czy niespodzianie i nagle, czy utoniecie w wodzie, czy się spalicie w ogniu, czy zabici od pioruna, czy od złego człowieka, lub pożarci od dzikiego zwierza, czy was ziemia przysypie, czy was wiatr porazi, czy z góry spadniecie i kark skręcicie, czy jedząc się udławicie. Jakkolwiek nagła śmierć słusznie przeraża i dla tego módlimy się: od nagłej a niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie! — przecież od tego zależy wieczność, czy umrzemy dobrą lub złą śmiercią, jako sprawiedliwi czy jako grzesznicy? „Droga jest przed oblicznością Bożą śmierć świętych Jego“. „Błogosławieni, którzy w Panu umierają, albowiem uczynki ich idą za nimi“. Wybiła dla nich ostatnia godzina, skończyła się ich praca, ich troska, już ich nie dosięgnie złość i zawiść ludzka, ni gorycz, ni trucizna; ustały pokusy, cierpienia, niedola; idą na spoczynek po znoju, po zapłatę po pracy, po nagrodę po przebytym boju, idą do wesela Pana swego. „Smierć grzeszników jest najgorsza“, mówi pismo św. Skończyły się ich

biesiady, ich rozkosze, ich podstępy, zdrady, plugactwa, idą, gdzie zasłużyli, w rozpaczy, narzekaniu w ogień wieczny; o gdyby przynajmniej czyścowy!

Dla jednych i drugich śmierci godzina jest bardzo straszna i bolesna. Któż nam to powie, kiedy się jeno raz przez nię przechodzi, a przeszedłszy nie wraca aż na sąd ostateczny! A przechodząc przez ten straszny termin, o! jakież bóle, jakież gorączki ściskają i palą wnętrzności człowieka, jakież uciski, żale i trwogi ściskają serce i duszę umierającego, iż zwykle od pamięci odchodzi, kiedy się dusza rwie i oddziera od wszystkich węzłów i wnętrzności ciała; a sidła szatańskie tak gęsto rozpostarte są na tę biedną duszę; boć jeśli ten zawzięty nieprzyjaciel czyha przez całe życie na zgubę naszą jako lew ryczący, o jakże się wysila w tej ostatniej a słabej dla nas chwili, „mając wielki gniew i wiedząc, iż mały czas“, jak przestrzega Jan święty w Objawieniach. Bo wie, że jeżeli cię wtedy straci, nie będzie miał więcej nadziei dostania cię; a jeśli wtenczas cię dostanie, nie będzie się bał, aby cię kiedykolwiek utracił. Znane przeto jest zdanie św. Augustyna, że nikt nie umiera, nie zobaczywszy wprzód otwartemi oczyma strasznego wroga piekielnego, który się zbliża, ażeby go straszyć i kusić. Tak się ukazał w groźnej postaci umierającemu św. Marcinowi biskupowi; lecz ten go sfukał: „Czego tu chcesz przeklęta bestyo; nic we mnie swego nie znajdziesz“. A jeżeli szatan świętym tak wysokiej doskonałości tak ciężką wypowiada wojnę, i tak silnie na nich następuje, naciera, czegóż się mają spodziewać grzesznicy, którym zarzucać może tak wiele występków, tak mało pokuty, aby ich do rozpaczy przywieść i zgubić? Któż nas w tej chwili wspomoże, gdzie będziemy ratunku szukali, jeśli nie w ranach najsłodszych Zbawiciela? O Jezu miłosierny, któryś na krzyżu od wszystkich opuszczony konał, przybądź mi na pomoc w tej strasznej godzinie! a nie daj mi zginąć na wieki! O Matko Bolesna pod krzyżem stojąca, nie opuszczaj i mnie do ostatniego momentu, ale się módl za mną w godzinę śmierci mojej! Albowiem śmierć, jak mówi Augustyn św., jest chwilą, od której zawisła wieczność szczęśliwa lub nieszczęśliwa.

(Dokończenie nastąpi.)

Obrona Częstochowy.

(Ciąg dalszy.)

III.

Od bramy fortecznej chłopi i szlachta, mieszczanie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszelkiego stanu, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta głów rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią, tworząc tęczę. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynały odmawiać litanię, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litanią a litanią, tłumy milkły i biły czołem o ziemię, lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe skaleczałe członki. Prośby ich mieszały się z brzękiem grosiwa, wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej i znowu brzmiały pieśni.

W miarę jak fala zbliżała się do drzwi kościoła, zapał wzrastał i zmieniał się w uniesienie. Widziałeś ręce wyciągnięte ku niebu, oczy wzniesione, twarze blade ze wzruszenia, lub rozpalone modlitwą.

Różnice stanu znikły: chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety z żółtemi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze, ciała ludzkie utworzyły już nie rzekę, ale most tak zbity, iż możnaby przejść po głowach, ramionach, nie dotknąwszy stopą ziemi. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, ale duch, który je ożywiał, dawał im żelazne siły. Każdy się

modlił, nikt nie myślał o czem innem, a każdy dźwigał na sobie tłok i ciężar całej tej rzeszy, ale nikt nie upadał i popychany przez tysiące ludzi, czuł w sobie siłę za tysiące, i z tą siłą parł naprzód pełen wzruszenia, pogrążon w modlitwie.

Marcin, czołgający się w pierwszych szeregach, dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i Marcin, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę, uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec jarzących przed ołtarzem. Barwne światła wpadały także przez szyby i wszystkie one blaski czerwone, fioletowe, żółte, ogniste, drgały na ścianach, ścizgały się po rzeźbach, załamaniach, przedzierały się w zaciemnione głębie, wydobywając na jaw jakieś niewyraźne przedmioty, pogrążone jakoby we śnie. Tajemnicze połyski rozbiegały się w mroku tak nieznacznie, że nikła wszelka różnica między światłem a cieniem. Swiece na ołtarzu miały glorye złote; dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; ornat zakonnika odprawiającego Ofiarę barwił się przyćmionemi kolorarami tęczy. Wszystko to było pół widne, pół przesłonięte, nieziemskie, blaski nieziemskie, mroki nieziemskie, tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracyą — świętością...

Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika, śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać było tylko oczy wpatrzone w jednę stronę, nieruchome twarze, jakoby już z życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

Spiewowi zakonnika wtórowały organy, wydające tony łagodne a słodkie, płynące jakoby z fletu zaziemskiego.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów, dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony, i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacze, krzyki rozległy się w kaplicy.

„Salve Regina!“ — zawrzasła szlachta — „monstra te esse matrem“, — a chłopi wołali: „Panienko Najświętsza! Panno złota! Królowo Anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!“

I długo trwały te krzyki wraz ze szlochami kobiet, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych, lub kalek.

Z Marcina dusza niemal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a więc wobec której wszystko niknie. Czemże były zwątpienie wobec tej ufności? czem niedola wobec taj pociechy? czem potęga szwedzka wobec takiej obrony?

Tu myśli w nim ustały, zapomniał się, zapamiętał, przestał rozeznawać, kim jest i gdzie jest... Zdawało mu się, że umarł, że dusza leci do nieba z głosami organów, miesza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry i klęczał w upojeniu, w zachwycie.

Tymczasem ofiara kończyła się. Marcin sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się wreszcie znowu w głównej nawie kościelnej. Ksiądz prawił naukę z kazalnicy, ale Marcin długo jeszcze nic nie słyszał, nic nie rozumiał, jak człowiek zbudzony ze snu nie od razu zmiarkuje, gdzie kończy się sen, a rozpoczyna jawa.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał, były: „Tu się odmienią serca i dusze naprawią, — ani bowiem Szwed Najświętszej Panny nie zmoże, ani w ciemnościach broczący, prawdziwego światła nie zwyciężą!“

— Amen! — rzekł w duchu Marcin i począł się bić w piersi, bo mu się teraz zdawało, że grzeszy ciężko, sądząc, że już

wszystko przepadło i że znikąd niemasz nadziei.

Po ukończeniu nabożeństwa, zatrzymał pierwszego napotkanego zakonnika i oznajmił mu, że w sprawie kościoła i klasztoru chce się widzieć z przeorem.

Przeor dał mu natychmiast posłuchanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Anioł dobroci.

(Dokończenie).

— Mój panie, rzekł zwracając się ku mnie, już od kilku miesięcy służy nam jak służąca i pielęgnuje nas jak dzieci. Ale ja nie mogę wszystkiego opowiedzieć, co ona dla nas uczyniła; my sami nie wiemy; tylko Bóg wie. Lecz ona nie chce, aby o tem mówiono — ale doprawdy, ona czyni cuda. Zaledwie się u nas zjawiła — już się wszystko zmieniło. Było to trzy czy cztery dni po pańskich odwiedzinach. Pan wiesz, w jakiem my byli położeniu. Paneś nam dał pieniędzy, ale pieniądze się rozeszły, nie wiemy jak, a my pozostaliśmy w jeszcze większej nędzy. Nigdzie chleba, ani nadziei, a dzieci zawsze głodne; syn mój był jak obłąkany; synowa chciała przynieść węgli, aby nas wszystkich dymem zadusić; ja byłem jak nędzne zwierzę bliskie śmierci, i wszystko było mi obojętne.

Jednego poranku ktoś zapukał. Pewnie jakiś wierzyciel albo gospodarz domu, który nas chce wyrzucić. Wszystko jedno! Ależ oto! zjawisko anioła! Poczciwa panienka staje we drzwiach, ogląda się i zaraz wie, czego nam potrzeba. Pyta się nas, czy wierzymy w Boga, który jest Ojcem nieszczęśliwych.

— Jeśli jest jaki Bóg, odrzekł mój syn, to się o nas nie troszczy.

— A czemuż On mnie do was, posyła? zapytała panna Lacroix.

I zaczęła nam mówić o Bogu i do łez nas poruszyła.

Ach, myśmy już dawno o Bogu nie myśleli, i ztąd zapewne pochodziła nasza nędza, bo odkąd o Nim myślimy, wszystko się zmieniło. Przyszła na drugi dzień z pełnemi rękami; kocha dzieci, myje je, czesze, ubiera, najmniejsze bierze ze sobą na świeże powietrze, ale nim odchodzi, klęka i uczy nas modlitwy, której nigdy, jak długo żyć będziemy, nie zapomnimy. Odkąd codzień przychodzi wśród słoty, wiatru i zimna; nic jej nie odstrasza. Codzień coś nowego przynosi, coś zrobi, na nowo wszystko urządza.

Dziś kupi łóżko, jutro bieliznę, którą sama szyje, podczas gdy dzieci uczy; zgoła wszystko, wszystko — i ten obraz, co nam przypomina niebo, ptaszki, pociechę dla dzieci i te kwiaty w wazonku, rozkosz dla moich starych oczu, wszystko jej zawdzięczamy. Tak panie, dla mnie przyniosła ta poczciwa dusza te kwiaty, bo już tak dawno nic zielonego nie widziałem, i nawet panu nie mogę wyrazić, jaką pociechę mi niemi sprawiła.

Po kilku dniach Gerhard jakby się ze snu obudził, synowa nabrała otuchy, ja sam czuję, że mi lepiej.

— Teraz inaczej żyć będę, rzekł dnia jednego Gerhard, bo odkąd mu się źle wieść zaczęło, oddał się pijaństwu, ale napomnienia panny L. go wzruszyły.

— Dobrze, rzekła, żeś pan powziął to postanowienie, teraz mogę panu powiedzieć, żem dla pana znalazła zajęcie.

Rzeczywiście tak było, i odtąd ma pracy dostatkiem. I synowa, mając zdrowe dzieci, i będąc porządnie odziana, ma dosyć pracy, dzięki poleceniom panny Lacroix.

Tak tedy tylko ja sam jeden jestem do niczego, a jednak pana L. mówi: że ponieważem stary, i nic więcej robić nie mogę, powinienem się za wszystkich modlić, to będę miał dosyć roboty.

Musiałem tedy wyznać, co mi kamieniem ciężyło na sercu, że będąc źle wychowany, źle żyłem i nic prawie nie wiem o Panu Jezusie Chrystusie, że nawet nigdy jeszcze u Komunii nie byłem.

— Ach, rzekła uprzejmie, jeśli tak, to się będziemy razem uczyli katechizmu, i

obiecuję wam, że nie umrzecie, nie poznawszy Pana Boga.

I usiadłszy przy łóżku, uczyła mnie prawd wiary. Z początku nie szło to tak łatwo, ale jej słowa i rozmowy z panem Soursac, jej krewnym, którego przyprowadziła i z ks. proboszczem pouczyła mnie o wszystkiem — a wszystko jest tak proste i dobre!

Raz rzekła do synowej:

— Przystrójcie izbę, jak tylko możecie najpiękniej, a wy staruszku, przygotujcie się, Pan Jezus sam chce przyjść do was.

Ach! ponieważem tej łaski dostąpił i Pana mojego widziałem, mogę z starym Symeonem powtórzyć: „Teraz wypuść Panie sługę swego w pokoju!“

Już się dosyć nażyłem, i niczego już na tym świecie nie pragnę. Niech mnie dobry Bóg powoła do obrachunku.

Muszę się też modlić za tę szlachetną duszę, która się tyle za mnie modliła, i nie tylko te kilka dni, które mam na tym świecie przeżyć, osłodziła, ale i wieczne szczęście mi zapewniła.

Starzec umilkł. Zatopiony w myślach, rozważałem w cichości dziwne drogi Boże.

Takie były uczynki Anioła dobroci i takie ich owoce.

Wszystko już zapomniane.

Smutno było w domu leśniczego, co stał w środku lasu. Stary leśniczy Werner siedział przy oknie, oparłszy siwą głowę na łokciu. Ponuro patrzył w las, a od czasu do czasu westchnął głęboko. U stóp jego siedziała dziewięcioletnia córeczka, spoglądając dobrotliwie na ojca i nie wiedząc, czemu ojciec tak smutny. Gdy przed dwoma laty wyniesiono matkę na cmentarz, ojciec także był smutny.

— Ojczulku — rzekła pocieszając — nie smuć się; wszak mama jest w niebie!

Leśniczy podniósł głowę i ocknął się z zadumy.

— Tak dziecię, masz słuszność, matka jest w niebie — rzekł drżącym głosem.— O, gdyby ona musiała tego dożyć! — i płacząc przytulił dziecko do serca.

Wtem odezwały się kroki w sieniach. Leśniczy otarł łzy z oczu i wstał. Wchodzi wysoki pan w stroju myśliwskim, przy nim dwunastoletni chłopiec i myśliwy, który pokornie stał z boku. Zimno i dumnie rzekł hrabia S.:

— Werner, jak wiesz, jesteś odprawiony i pojutrze masz ten dom opuścić, aby nowy leśniczy mógł się wprowadzić.

— Posłucham rozkazu, panie hrabio — rzekł stanowczym głosem leśniczy — choć to z pańskiej strony nie pięknie, starego sługę za drobnostkę z domu wyrzucać.

Hrabia wziął syna swego, Karola, który małą Gertrudę, co się doń jako znajoma zbliżyła, kopnął nogą, za rękę i wyszedł z nowym leśniczym z leśniczówki. Werner spojrzał na nich znacząco i rzekł:

— W imię Boże! Niech będzie co chce, ja wszystko Tobie, o Boże, poruczam!

W dwa dni potem opuścił mieszkanie leśniczy, którego hrabia odprawił za to, że nie chciał ubogiego starca wybić za trochę drzewa wziętego z lasu hrabiego. Na cmentarzu wiejskim długo się jeszcze modlił wraz z córką i prosił Boga, by się mógł wkrótce z małżonką w niebie połączyć.

* * *

Ośmnaście lat odtąd upłynęło. Był to pamiętny dzień 2-go września 1870 roku. Jedną z najkrwawszych bitew, jakie zna historya, stoczono w ów dzień. Pod Sedanem tysiące na polu bitwy konających i trupów leżało. Setki wśród okropnych boleści leżały w lazaretach.

W jednym domu na drodze z Floing do Villet leżał na łożu boleści młody oficer. Przy jego łożu siedzi anioł pociechy — Siostra miłosierdzia. Chory — a jest nim Karol hr. S., który dotychczas bez pamięci leżał, podnosi się, ogląda i pyta:

— Gdzie jestem?

— W dobrych rękach — odpowiada uprzejmie Siostra i łagodnie na poduszkę

go układa. Karol spogląda na nią; jakby chmura przeleciał po jego obliczu:

— Gertruda Werner — wyjąknął i odwrócił się. Siostra chwyta go za rękę i mówi cicho:

— O, nie bój się pan, wszak wszystko już zapomniane.

Przemawia doń mile, mówi o ojczyźnie, o lesie, o cichej łące. Chory coraz uważniej słucha, wreszcie z zaufaniem na nią spogląda, ręce jej łzami polewa i szepce:

— Przebaczenia za to, cośmy tobie i twemu ojcu uczynili!

— Już dawno przebaczone; i on, nieboszczyk mój ojciec, także przebaczył — odrzekła Gertruda, a ponieważ lekarz oświadczył, że hrabia już wkrótce umrze, zaczęła z Karolem mówić o Bogu i gotować go na podróż do wieczności.

Dnia 3 września Karol hr. S. żyć przestał. Spokojnie i opatrzony śś. Sakramentami umarł wśród modlitwy zacnej Siostry i poszedł do swych ojców. Po pogrzebie klęczała Siostra Gertruda na jego grobie i modliła się za zmarłego. Tak miłość chrześciańska płaci za krzywdy.

Śmierć świętego Dunstana.

W sam dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, pisze Osbernus w życiu św. Dunstana, gdy tenże odprawiwszy jutrznię, został sam na sam w kościele, by się dłużej pomodlić, ujrzał nagle, że niezmierna liczba osób w bieli, mających korony na głowie, jaśniejących niewymownym blaskiem, wchodzi przez drzwi kościoła, i stanąwszy przed nim, jednym głosem wita go, mówiąc:

— Witaj Dunstanie nasz, witaj! Nakazuje ci Syn Boży, którego tak gorąco widzieć pragniesz, ażebyś, jeśliś gotów, przyszedł — i ten dzień, za którym tęsknisz, z nami uroczyście obchodził.

Na te słowa Dunstan nieustraszony, zapyta, coby za jedni byli?

— Cherubini i Serafini jesteśmy, odrzekli; powiedz nam, czego żądasz?

A Dunstan odpowie:

— Ten dzień jest bardzo uroczysty, a ja mam obowiązek chlebem słowa Bożego lud Boży nakarmić i pouczyć go, jakby się mógł dostać do onej radości, widzicie, jak tłumnie lud się zgromadził — więc dzisiaj przybyć nie mogę.

Oni zaś rzekli:

— Dobrze, więc bądź gotów na sobotę abyś z nami: Swięty, Swięty, Swięty, wiecznie mógł śpiewać.

Zgodził się na to Dunstan, a oni odeszli.

Odprawiwszy więc Mszę św. aż do Ewangielii, przemówił do ludu tak, jak jeszcze nigdy nie mówił, a powróciwszy do ołtarza, spełnił Najświętszą Ofiarę. Gdy już miał udzielić błogosławieństwa, znowu wstąpił na ambonę i mówił tak pięknie i gorąco, że wszyscy mniemali, iż nie człowieka, lecz Anioła słuchają. Powróciwszy do ołtarza i udzieliwszy ludowi błogosławieństwa, po raz trzeci wstąpił na ambonę. Wtem oblicze jego taką zajaśniało chwałą, że nikt nań spoglądać nie mógł. Wśród ogólnego płaczu wiernych, opowiedział im bliski zgon swój i obiecał im, że nigdy o nich nie zapomni.

Tegoż dnia, wziąwszy posiłek, udał się do kaplicy i naznaczył miejsce, gdzie chciał być pochowany. I nagle zasłabł. Nazajutrz w piątek, położył się — i wszystkich, co go odwiedzali, zachęcał do wstępowania w ślady Zbawiciela. W sobotę znowu przyjął Komunię świętą, i gdy czekał na godzinę zejścia swego, nagle wraz z łożem podniesion jest po trzykroć w powietrze i potem lekko ku ziemi spuszczony. Wtedy rzekł do około stojących:

— Wy widzicie, dokąd mnie wzywają; jeśli chcecie iść ze mną, postępujcie tą drogą, którą ja postępowałem. Bóg, który mnie wzywa, niech kieruje serca i ciała wasze ku spełnieniu swej woli w pokoju.

A gdy wszyscy odpowiedzieli: Amen, zasnął w Panu.

„Nadal będę się strzegł."

— Cóżeś to taką kwaśną minę zrobił? pytał A. starego przyjaciela swego, które-

go pewnego poranku, wyszedłszy sobie na spacer, na ulicy spotkał.

— Dobrze ci mówić, odparł D.; patrz na tę kartę — i mówiąc to, wyjął z kieszeni rachunek od aptekarza: 75 marek, czy to nie zdzierstwo? Trzeba ci wiedzieć, że żona moja kilka miesięcy chorowała. A lekarz przysłał nam rachunek na 35 marek; czy to nie rozpacz dla biednego rzemieślnika?

— Masz słuszność przyjacielu, odrzekł A.; ale nie rozpaczaj. Dziękuj Bogu, że ci żona wyzdrowiała; pracuj tylko pilnie i oszczędzaj nieco, a jakoś się wygrzebiesz.

— Już o tem myślałem — a potem z tej historyi nauczyłem się ważnej rzeczy; opowiem ci. Ty wiesz, że ja w gruncie nie zły człowiek, ale trochę lekkomyślny. To też i w niedzielę tak było; myślałem, że kilka godzin rano w niedzielę i święto popracować, to nic nie znaczy. Tak całe cztery lata robiłem; aż raz słyszałem, jak nasz ksiądz na kazaniu mówił:

— Co się w niedzielę przez pracę niekoniecznie potrzebną zyskuje, to zysk niesprawiedliwy, który Bóg wcześniej czy później z domu zabierze — choroby i tym podobne wypadki są egzekutorami.

Wtenczas te słowa na wiatr puściłem i pomyślałem sobie: przecież tak źle nie będzie. Ale słów tych nie zapomniałem; zawsze mnie jak robak gryzły. Gdym tedy otrzymał rachunek od lekarza i aptekarza i obaczyłem, iż 110 marek wynosi, wtedy dopiero przyszły mi znowu na myśl słowa kapłańskie. Jednej niedzieli po południu siadłem więc umyślnie i jak mogłem, rachowałem, ilem też przez te 4 lata niedzielną pracą mógł zarobić? I dziwna rzecz! Właśnie wypadło 100 do 110 marek. Ciężko mi się na sercu zrobiło. Ale nadal strzedz się będę pracy w niedzielę i święta.

Kalendarz tygodniowy.

Wrzesień.

25. Niedziela. Władysława.
26. Poniedziałek. Józafata.
27. Wtorek. Przeniesienie św. Stanisława.
28. Sroda. Wacława kr. i M.
29. Czwartek. Michała Arch.
30. Piątek. Hieronima Dr.

Październik.

1. Sobota. Remigiusza.

Świętojózafacie

czyli składka na ubogich studentów katolicko-polskich.

W kasie (zob. nr. 37) . . . . 245,28 m.
Na chrzcinach u p. Wawrzyńca Madalińskiego w Bruckhausen: W. Madaliński z żoną 2 m. St. Madaliński z żoną 1,50 m., Fr. Kaczyński z żoną 1 mr., J. Pawłowski 50 fen., M. Skrzydlewski 50 fen., W. Skrzydlewski 50 fen., W. Napieralski 50 f., J. Bisol 50 fen., (nadesłał p. W. Madaliński) . . . . . . 7,00 „
W. R. z Hamburga . . . . 11,00 „
Na chrzcinach u p. Jana Grzemskiego w Castrop: J. Grzemski z żoną 1 m., W. Migaszewski z żoną 1 mr., S. Moryson 1 mr., J. Wachowiak z żoną 1 m., A. Matuszewski z żoną 1 m., J. Kostrzewa 1 m., F. Gelner 2 m., A. Moryson z żoną 1 m., J. Migaszewski 50 f., dzieci W. Migaszewskiego: Helcia 15 f., Marynia 15 f., Antoś 20 f., dzieci p. J. Wachowiaka: Staś 15 f., Leosia 10 f. (nadesłał p. Jan Grzemski — porto 25 fen.) 10,00 „
Na imieninach u p. Franciszka Wiśniewskiego w Marten: Fr. Wiśniewski z żoną 1 m., J. Jankowski 50 f., Fr. Walczak z żoną 50 f., J. Wujek z żoną 50 f., St. Borowiak 50 f., St. Poratka 1 m., T. Garstecki 1 m., Panna Seweryna Wiśniewska 50 f., K. Krzyżański 1 m., Antonina Wiśniewska 50 f., P. Gajewski 50 f., Katarz. Wiśniewska 50 f. (nadesłał p. Franciszek Walczak . . . . . . 8,00 „
Razem 281,28 m.

Odchodzi:
B. C. w D. stypendyum . . . 50,00 m.
Porto . . . . 0,20 „
50,20 m. 50,20 „
Pozostaje w kasie: 231,08 „

Bóg zapłać! Św. Józafacie, módl się za nami!

20. 9. 1898 pro: Ks. Liss.

Jan Bieliński, Bochum Maltheserstr. 17a.

Sprostowanie. Składkę z Holsterhausen (pokwitowaną w przeszłym numerze), którą nadesłał p. M. Wierzbiński z Baukau, złożono na chrzcinach u p. Ignacego Andrzejewskiego w Holsterhausen a nie u p. M. Wierzbińskiego.

Redaktor odpowiedzialny: ks. Franciszek Liss w Rumlanie. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego“.